ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 18 marca 1922 roku. № 11.

Juljusz German. Powieść.

10) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Szeptała ze schyloną głową:

— On, Henryk, przyszedł nad ranem. Obudził mnie, krzyczał, płakał. Musiałam go uspakajać, pocieszać. Przegrał znowu. Wtedy przez cały dzień, aż do wieczora, jest taki, że boję się go samego zostawiać. Siada przy stoliku, wyjmuje karty i gra sam ze sobą. Nie, z kimś drugim. Patrzy przed siebie, jakby w pustce widział wyraźnie jaką postać, mówi do niej półszeptem, uśmiecha się lub z niechęcią wzrok odwraca. Spytałam go raz żartem, czy z tym niewidzialnym partnerem zawsze wygrywa, bo to chyba łatwo. Pogniewał się, posiniał z wściekłości. „To jest uczciwa gra! On widzi"! „Jaki on"? Wskazał ręką za stolik. „Widzi wszystko, wszystko, Mela", syknął przez zęby. Uciekłam i przez drzwi słyszałam wciąż szelest rzucanych kart i ten szept jego i czasem—wydawało mi się naturalnie — jakiś głos inny, obcy, choć on sam z sobą grał tylko. I po kilku godzinach takiej gry pada na kanapę jak martwy.

Przycisnęła ręce do skroni.

— Ile już takich dni, coraz częstszych... Co się z niego stało? To wszystko, żeby wygrać... te pieniądze...

W źrenicach połyskliwych wilgotnym żarem rozjarzył się na sekundę ostry płomień nienawiści.

— Widziałem już błysk podobny — przemknął się przez myśli Bronicza grot przypomnienia.

W światłach latarni samochodu kredowo blada twarz o krwawych ustach, owiana obłokiem włosów jasnych jak len i blade złoto, oczy o przezroczystem blasku pełnym szmaragdowych i jasnoszafirowych iskier, oczy patrzące z kamienną nienawiścią na banknot wzgardliwie rzucony...

— Co się z niego zrobiło? — powtórzyła.— On to płacze po przegranej w karty, on, który śmiał się spokojnie, gdy raz na wsi zbłądziliśmy wśród śnieżycy i wilki goniły za saniami i koniom do szyj się rzucały? Nie drgnęła mu ręka, gdy strzelał w ogniste, czerwone ślepia i raz w raz rozciągał na śniegu włochate, obrzydłe cielska. Nieprzytomną ze strachu potem tulił, gdy konie poniosły i przez białą zamieć rwały w step... A mnie przeszywał głęboki dreszcz i w nim jakby wydzierała się ze mnie druga istota w beskresny wir zadymki, w którym zalśniła na chwilę, przelotniejszą od błyskawicy, szpara mglistego i złotego światła, jak uśmiech groźny zarazem i dobry... I nademną głos jego: „Mela, moja Mela"... On to, ten sam, miota się teraz czasem w bezsilnym płaczu, jak dziecko? O tem nie wie nikt, tylko ja. A mówię ci to, choć nie obchodzi cię to nic, choć wolałbyś tylko mnie kochankę w pocałunkach, bez tego, co było i jest koło mnie. Mówię, bo chcę być z tobą bezwzględnie szczera, bo nakaz tej szczerości mnie porywa, bo chcę, żebyś i ty...

Osunęła się niespodziewanie do jego kolan.

— Nie pytałeś się nigdy... Nie myśl, że z tobą pierwszym zdradziłam męża. Miałam już kochanka. Jeden z klubowych kolegów Henryka. Mówił, żem taka zmysłowa... A jeszcze przedtem... Z ogrodniczkiem we dworze—szepnęła niewyraźnie w półjęku jakimś dziecinnym.

Podniósł jej twarz gorącą i zwilżoną łzami. Drgała boleśnie od tłumionego w piersiach zawodzenia.

— Więc cóż chcesz, żebym ci powiedział?

— Po co jestem przy tobie? I po co właśnie dziś?

Spojrzał na klęczącą, w miłosnym nieładzie pokorną bujnem wpółobnażeniem, świecącem w refleksach ognia matową miękkością, na oczy pełne łez, wyrywające się ku niemu roziskrzoną strzałą pytania, wyniosłego nad nagość w czekaniu niewolniczą.

— Po co jesteś przy mnie...

Gęste roje śniegowych płatków kłębiły się za oknami, czar tańcząc baśni dalekiej.

Dłoń Bronicza spadła zwolna na odkryte ramię czarnowłosej.

— Spotkałem cię, gdy odchodziła odemnie kobieta bardzo ukochana. A dziś jej ślub.

Nie ugięła się pod naciskiem jego ręki pełnia gładkich kształtów, przytuliła się do niej, uniosła jak fala powiewem wezbrana. Ujął go oplot rąk ciepły jak wiatr z południa i w oczy jego zapadło spojrzenie, w którem przez ciemną, opuszczoną toń przedarł się promień księżycowej jasności, na usta, krasne wyzwaniem do rozkoszy kładąc uśmiech słodkiej zadumy.

— Więc, żebyś nie czuł się sam... sam... I wiedział, że można cię jeszcze kochać gorąco... dla ciebie...

Pocałowała go w oczy, przyciskając się do niego z całej siły.

— Czy ty wiesz? Inna byłaby upokorzona... a ja... Więcej mi dałeś szczęścia, niż najszaleńszą pieszczotą. Szczery byłeś, szczery... O mój...

Wyswobodził się delikatnie z jej ramion, pogładził ją po licach.

— Wolisz, żebym poszła? To lepiej, prawda? I może ładniej? Ale, jak chcesz, zostanę...

Potrząsnął głową.

Zbierała rozrzucone szpilki, upinała szybko rozpuszczone włosy.

— Nie zapalaj lampy, nie potrzeba. Wystarczy ten blask od ognia — szepnęła prosząco.

Pomyślał, trochę zdumiony, że nie wstydziła się nigdy swej urody w pełnem świetle.

W półcieniu szeleściały jedwabie.

— I powiedz mi, nie jest że to dziwne, powiedz? Tak mi swobodnie,

lekko... Nie, nie pomagaj, sama zapnę te klamerki pantofelków... Wiesz, gdym szła dziś do ciebie, spieszyłam się zamyślona, nagle zadzwonił mi przeraźliwie nad głową dzwonek tramwajowy. Zatrzęsłam się cała, musnęła mnie sztaba poręczy, o włos byłabym uderzona, porwana w upadku na szyny. „Oj, Boże"! Krzyknęłam sztucznym, nieswoim głosem. I znowu to wrażenie, które już miałam podczas tej jazdy obłąkanej w śnieżycę, że ktoś ze mnie zostaje tu, a ktoś drugi wyrywa się w dreszczu i przeczuwa raczej, niż widzi, mgławe i złote światła, jak straszne uśmiechy. Pół sekundy... Ach czasem... teraz ci się przyznam... w twoich objęciach... i także w pierwszych miesiącach po ślubie... dobrze, że ciemno... takie światła migotały mi przed oczami i rozwiewały się zaraz... zaraz.. O, nie podchodź jeszcze do mnie... Uciekłam na drugą stronę ulicy, idę ogłuszona, a tu ktoś do mnie mówi: „Biedna paniusia, a toż na śmierć mogli rozjechać, na śmierć"... Stary posłaniec w czerwonej czapce, okręcony szalem, szedł obok, patrzył poczciwym, serdecznym wzrokiem, jak na córkę rodzoną. W tłumie się zgubił. Obcy człowiek. Skądże obcy?... Są jakieś nici, które między ludźmi się plączą... To wszystko nie takie proste... Tak mi było radośnie, jak teraz...

— Mój pan może już odkręcić światło! — zawołała wesoło.

Zmrużyła oczy przed przenikliwym blaskiem elektrycznej lampy. Podeszła do niego, ubrana bez zarzutu, w futrzanym kołnierzu na szyi, naciągając rękawiczki ruchem damy na wizycie.

— Teraz wydaję się jakby inna? Jakby nie było nic?

Podstawiła śmiało twarz pod jego spojrzenie.

— Ta sama—powiedziała tonem dźwięcznym, głęboko z piersi dobytym, wyrzucając to słowo jak pocałunek.

— Nawet teraz jeszcze ładniejsza...—Bystrym, osądzającym wzrokiem wtargnął w jej lica. — Jest w tobie... jak to określić... urok czegoś... nieosiągniętego...—Zamysł ironicznego akcentu ześlizgnął się po tych wyrazach bezsilnie. — Urok istniejący żywo. Tak, to jest piękne...

Na ustach rozbłysł mu uśmiech, w każdym życzliwie szukający urody, ze znalezienia nowej ucieszony.

— I inne, niż twoja ładność, którą znam całą — dodał w zamyśleniu.

— A widzisz, widzisz... O jakżebym chciała być nowa, inna... dla ciebie... i siebie.

Kładła rękę na klamce drzwi, z czarnej sukni wyrastająca spłonioną zwiewnie twarzą narzeczonej.

— Przyjdę, gdy zawołasz. Kocham cię, pamiętaj.

— Właśnie nie chcę pamiętać o tem teraz, rozumiesz? Bo, gdyby w twojem uczuciu był cień litości— szepnął groźnie — strąciłbym cię zaraz z mej drogi.

Schyliła głowę w drgnieniu przelotnej bojaźni, lecz wzniosła ją wnet, otwartem, rzewnem wejrzeniem złocisto czarnych oczu patrząc mu w chmurne źrenice.

— Litować się? To chyba ty mógłbyś nademną, bom bardziej sama. I nie wiem, czy w twojej mocy byłoby rozerwać te nici, które już się splątały. Dobry, spojrzałeś lepiej... Do widzenia — rzekła grzecznym, miłym głosem.

Przyłożyła dłonie do wyniosłych piersi, odjęła je lekko i wyciągnęła ku niemu swobodnym ruchem uśmiechniętego w prostocie oddania.

Raz jeszcze skrzyżowali oczy. Uczuł dla niej nagłą wdzięczność, że nie podała mu ust do pocałunku. Odeszła.

— Zawsze dzieje się inaczej, niż się spodziewamy—szepnął Bronicz, podchodząc do okna. — Może miała słuszność. Nie jest to wszystko takie proste. Nie udało się. Splot się zadzierżgnął inny, myślałem, między mną a tą kobietą, od której chciałem tylko uścisków, a która narzuciła mi tajemnicę swego lęku czy tęsknoty... Ten gest jej pożegnania, niby wiejskiej miłośnicy, niby z zamierzchłego obrzędu, w naiwnem pięknie ofiarujący oznakę kobiecości... Skąd ona gest ten wzięła?

Machnął ręką. Wyjął z bocznej kieszeni welinową, drukowaną kartę.

„Lili Dowgird i major Zbigniew Olszański mają zaszczyt zawiadomić, że ślub ich"...

A w poprzek wyraźnem, dużem pismem panny z wytwornego pensjonatu nakreślone słowa: „Spodziewam się, że przyjdziesz rękę mi uścisnąć, Rysiu".

Tyle tygodni nie słyszał jej głosu, nie widział oczu słodkich i zuchwałych. Od dnia, gdy odesłała mu kwiaty wtorkowe. Czuł tylko jej istnienie, mgliste jak w bajce, jak kogoś, który wyjechał za morze.

— Czy ostanie się wpatrzeniu w jej żywą postać, strojoną do rozkoszy z innym, myśl dawna, pozdrawiająca łagodną, cichą radością, że ważniejsze mi jest jej istnienie, niż wszelkie jej śluby i zdrady? Ostanie się przed szarpiącą zgryzotą upokorzenia?

— Zobaczę. — Spojrzał na zegarek. — Właśnie zdążę.

Gdy zatrzasnął za sobą bramę kamienicy, wydało mu się, że słyszy huk przelatującego pociągu. Niespodziewanem przypomnieniem zwidział mu się, z okna wagonu przed laty oglądany w przelocie, skalisty wąwóz koło Pontebby, nad urwiskami zachodzące słońce, wartki strumień przez czarne głazy goniący z dzikim, cudnie rzeźwym szumem, perlisty pianą od świateł zorzy kolorową... „Tam zostać! Tam zostać!" porywem nagłym wydziera się tęsknota. A pociąg w furji gna dalej.

Sennie wirujące zawroty śniegowych płatków objęły go kręgiem i rozwiały nalot wspomnienia.

Ściągnąwszy brwi, zaczął obmyślać plan zajęć w jutrzejszym dniu. Opuścił dziś ważną konferencję w „Elektropolu", nie dał wieczornych dyspozycji swemu ajentowi na giełdzie, stracił przypuszczalnie z miljon. Zimno, spokojnie, ze wzgardliwym uśmiechem dla głupiej a kuszącej pozy spanoszonego niedbalstwa, zastanowił się, że bardzo mało go to obchodzi. Gniewało go raczej tylko chwilowe rozprzężenie w odmierzonym dokładnie trybie pracy, pulsującym stalową sprężyną woli.

Ścisnął mocno pięście schowane w kieszeniach futra.

Jego majątek? To ciągły rozpęd, to koło, tą wolą w ożywczy ruch puszczone, to hale maszyn, w których zaciekle niezbłaganym pędem śmigają transmisyjne pasy, to kłęby dymu jak pióropusze nad wieżycami fabrycznych kominów, to srebrzyste łuny łukowych lamp nad czarnemi od węglowego pyłu budynkami kopalni...

— To ja, Bronicz — przez zaciśnięte zęby szept twardy.

Wiatr powiał ze skrętu ulicy, omotał mu oczy śnieżną zawieruchą. Idąc spiesznie, potrącił kogoś w półoślepieniu. Cichy okrzyk, postać potrącona zachwiała się, przechyliła w tył. Chwycił ją za ramię, podtrzymał pewnym ruchem. Ujrzał młodziutką, różową z zimna twarzyczkę dziewczyny o wielkich świeżych oczach, tak miłą, że uśmiechnął się do niej ochotnie. Na ciemnozłotawych, pudrowanych śniegiem włosach miała wojskową furażerkę. Podana naprzód, nieco zgarbiona. Uśmiech zdrętwiał mu na ustach. Dziewczyna opierała się ciężko na kulach. Była bez nogi, uciętej wysoko, prawie przy biodrze.

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

6) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Podniosła się jeszcze bledsza, niż zazwyczaj.

Pewnego dnia, a było to bardzo gorące popołudnie letnie, Paweł znajdował się w pokoju z jednym tylko kolegą, który, zgorączkowany, drzemał na łóżku.

Anna Pawłowna weszła, aczkolwiek to nie była jej godzina. Bezszelestnie zbliżyła się do łóżka i usiadła obok Pawła, który leżał z przymkniętemi oczyma, słuchając brzęczenia dużej muchy, rozbijającej się o szybę.

Anna Pawłowna zaczęła coś mówić bez związku i nagle pochyliła się nad nim, jedną rękę położyła pod głowę młodziutkiego oficera, przyciągając ją ku sobie, podczas gdy druga wsuwała się pod prześcieradło, i Paweł uczuł na ustach rozgniatające mu je gorące, namiętne wargi, i cienki języczek wsuwający mu się pomiędzy zęby.

Trwało to, jak mu się zdawało, wieki. Wtem drzemiący oficer poruszył się z jękiem; Anna Pawłowna odsunęła się raptem od Pawła i szepnąwszy: „Jak ja cię kocham" znikła.

Paweł opuścił lazaret w dwa dni później pod wrażeniem niewysłowionego wzburzenia. Wspomnienie tej dziwnej sceny nie opuściło go i, rzecz szczególna, prześladowało go zwłaszcza, gdy był sam z Lydją.

Nie mógł sobie darować, że nie jest tak czystym, jak ona. Oddawna postanowił wyznać jej to i prosić o przebaczenie. Dopiero, gdy zmyje z siebie tę skazę, będzie mógł mówić swobodnie.

Dochodzili do Pałacowego Bulwaru, gdy Paweł, który milczał długo, wybuchnął. Uczynił to nadzwyczaj niezręcznie, opowiadając owo zajście w sposób możliwie najbardziej objektywny. Wyglądało na to, jakby się tem przechwalał, czuł to i im większe było jego pomięszanie, tem większe czynił wysiłki, aby udawać swobodę.

— Oto, co uważałem za obowiązek powiedzieć ci.

Lydja spoglądała na niego ze zdumieniem. Twarz jej spoważniała; bez chwili wahania odrzekła:

— Twoja przygoda jest obrzydliwa, wstrętna, a przytem niema w niej nic zajmującego. Po co mi to było opowiadać! Cóż mnie to obchodzi?

Paweł zaczął się usprawiedliwiać niezręcznie i wrócił do szkoły zrozpaczony.

Lydja pozostała u siebie czas jakiś przed pójściem do ojca. Opowiadanie Pawła pozostawiło jej wrażenie niesmaku, a przytem czegoś zgoła niedorzecznego.

— To dzieciak — wymówiła półgłosem.

I raptem doznała szczególnego uczucia. Uświadomiła sobie, że i ona jest również dzieckiem, samem na świecie, na którym rozkiełznały się tajemnicze, groźne moce. Rewolucja wydała jej się teraz złowrogim potworem, który pochłonie tysiące ofiar. Gdzież znajdzie kogoś, na kim mogłaby się oprzeć? Czyż przetrwa te niebezpieczne czasy bez prawdziwego przyjaciela?.. I odczuła w całej pełni swą bezsilność i osamotnienie... Gdy jej stara niańka Katia weszła do pokoju, zastała ją we łzach.

* * *

Książę Sergjusz Wołyński miał swoisty sposób odczuwania i sądzenia wypadków. Z tego, co się działo w stolicy, nic go nie dziwiło. Postawił krzyż na Piotrogrodzie, który nazywał „miastem przeklętem". Piotrogród nie mógł go zdziwić żadną niegodziwością. Było to dzieło Antychrysta, miasto kosmopolityczne, pełne żydów i cudzoziemców, siedlisko olbrzymiej, zgniłej biurokracji, zbudowane w dodatku na bagnach, niezdrowe, zgorączkowane, przez pół roku pogrążone w ciemnościach, gniazdo moralnego zepsucia, zarażające czyste pierwiastki, jakie mu cała Rosja posyłała i czyniące w krótkim czasie z człowieka zdrowego coś, co nie miało nazwy w żadnym języku.

To też z pewnem, gorzkiem zadowoleniem śledził za biegiem fatalnych skutków, jakie wypadki pociągały za sobą. Oklaskiwał entuzjastyczne przyjęcie, jakiego doznał Lenin na dworcu Finlandzkim, a jego osiedlenie się w pałacu Krzesińskiej mocno go ubawiło. Wiadomości, jakie mu przynoszono z Sowietu i zatrzęsienie żydów, jakie tam panowało, napełniało go zadowoleniem.

— Rosną jak grzyby po deszczu — mawiał — ta zgnilizna zaleje wszystko.

W innych chwilach wzywał ogień z nieba na stolicę.

— Niech z niej kamień na kamieniu nie zostanie. Inaczej Rosja jest zgubiona.

Ale najczęściej odmawiał sobie tych posępnych uciech. W gruncie, jedna tylko rzecz zajmowała go. W jaki sposób rewolucja odbije się na jego posiadłościach? Miał bardzo znaczne dobra dziedziczne w gubernji Smoleńskiej. Tam się urodził.

Ten człowiek, pozwalający na wszystko żonie, w której był rozkochany, raz tylko w życiu okazał się względem niej stanowczym. Gdy była przy nadziei, zażądał, aby spędziła czas ciąży na wsi i tam doczekała się rozwiązania.

Nie mógł znieść myśli, aby jego dziedzic mógł się urodzić w owoczesnym Piotrogrodzie.

Piękna księżna Helena bardzo źle zniosła to wygnanie. Książę okazał się nieugiętym. Na dwa tygodnie naprzód sprowadził pierwszego akuszera z Moskwy.

Lydja urodziła się, jak mawiał książę „na prawdziwej, rosyjskiej ziemi".

Odtąd spędzał tu zawsze lato, wyjąwszy krótkie wycieczki za granicę, gdzie czasem jeździł do żony, nawykłej do niemieckich wód i francuskich plaży.

Książę znakomicie podniósł wartość swych dóbr. Miał w nich doskonałe poręby, zbiory owsa, pszenicy, ale najważniejszą produkcją i jego osobistem dziełem była mleczarnia. Umieścił ją pod kierunkiem Szwajcara Schwartza, który sprowadzał krowy ze swej ojczyzny i z Danji i krzyżował je z bydłem miejscowem, pochodzącem od krów, które jednemu z przodków księcia przysłała w darze sama Katarzyna Wielka.

Schwartz miał oborę złożoną z czterystu krów; przeważna ilość mleka była wysyłana codziennie do Moskwy, z reszty wyrabiał sery w rodzaju szwajcarskiego, bardzo poszukiwane w Rosji.

Po wybuchu rewolucji, chłopi długo zachowywali się spokojnie. Zdawna lubili powtarzać, że ziemia do nich należy. Ale pomiędzy nią a nimi było tysiące zapór, z któremi nie wiedzieli jak sobie poradzić. Listy Schwartza przynosiły ciekawe i niepokojące szczegóły, które wiele do myślenia dawały księciu. „Chłopi wycinali drzewo w lasach", „chłopi przywłaszczyli sobie paszę". Wreszcie przybyła

wiadomość, że chłopi zabrali tuzin krów.

Otrzymawszy ten list, książę wybuchnął gniewem, i szczapy na kominku, okładane szturchańcami pogrzebacza, zdawały się trzeszczeć ze złości pospołu z nim,

Drzewo, pasza, zboże, mniejsza z tem; ale targnąć się na jego krowy, na te cenne okazy tak starannie pielęgnowane i umiejętnie krzyżowane, to było nie do zniesienia.

— Ten osioł Schwartz — wykrzykiwał książę — nie umie się bronić! Alboż on zna naszych rosyjskich chłopów, pomimo, że od dwudziestu lat jest u mnie! Moje krowy w ich brudnych oborach! Chciałbym to widzieć! Muszę tam pojechać!

I nie było sposobu przeperswadować mu tego. Ani nadzwyczajna trudność podróżowania po zapchanych linjach, ani niemożność zamówienia osobnego przedziału, ani jego własny stan zdrowia, pogarszający się z dniem każdym, i nogi odmawiające mu posłuszeństwa, tak dalece, że musiano go zawieźć w fotelu na kółkach, nic go nie mogło powstrzymać.

Żona próbowała go nakłonić, aby spędził lato w Finlandji z Lydją. Ona nie towarzyszyłaby mu, gdyż, jak mówiła, zdrowie nie pozwalało jej zupełnie wydalać się z domu, choćby na kilka godzin. Nie chciała mieć najmniejszego zetknięcia z rewolucją; widok dworca zapchanego żołnierzami przerażał ją na samą myśl o nim. Pragnęła przetrwać te niespokojne czasy w ciszy własnego domu. Żadne echo z zewnątrz nie dochodziło tam i jej chore nerwy znajdowały w nim spokój, do którego były przyzwyczajone. Księżna Helena nie czytywała dzienników, a jej stary przyjaciel Wassilow miał sobie wzbronione przynosić jej jakiekolwiek wiadomości o rozruchach w mieście.

Gdyby mąż i córka zamieszkali w jakiej finlandzkiej willi, mogliby ją odwiedzać często i zachować w ten sposób łącznik, który jej był drogim. W Finlandji zostaliby Szupin, Karaminow, którzy już tam byli, nie dlatego, aby stracili wiarę w bliską przyszłość, gdyż piękna Natalja wciąż twierdziła, że pokłada niezachwianą ufność w spokojny rozwój rewolucji i zachwycała się szybko po sobie następującymi bohaterami dnia. W danej chwili Kierenski był jej bożyszczem, a książę Lwow wart był jedynie, aby go wyrzucić do śmietnika — ale poprostu dla większej dogodności, jaką przedstawiała Finlandja w nieprzerwanem zetknięciu z Piotrogrodem.

Książę nie posłuchał żony. Lydja zapytana o zdanie z radością przyjęła myśl spędzenia kilku miesięcy na wsi. Piotrogród był jej teraz niemiłym. Rewolucja już jej nie bawiła; miała ochotę uciec; czuła się tu jakby nie w swoim żywiole i miała nadzieję odzyskać równowagę tam, gdzie spędziła tyle szczęśliwych, letnich miesięcy.

Około 10-go maja — na parę dni przedtem były rozruchy na Newskim, gdzie pojawiły się nie budzące zaufania postacie młodych bolszewików, uzbrojonych od stóp do głów — książę z córką pojechał do Smoleńska.

Generał Wassiliew zdołał dzięki różnym, ciemnym intrygom zdobyć dla nich oddzielny przedział, w którym odbyli podróż bardzo wygodnie.

W dwadzieścia cztery godziny później Paweł Wołyński wyjechał do Czerniowic, gdzie się miał połączyć z armją Korniłowa. Nie mianowano go jeszcze oficerem, ale prośba o posłanie go na front została przyjętą.

V.

CZŁOWIEK SAM JEDEN.

Mikołaj Sawinski umieścił żonę i dzieci w willi finlandzkiej o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Piotrogrodu i pozostał w stolicy sam, ale co sobota jeździł automobilem do rodziny.

Sonia za każdym razem wypytywała męża natarczywie o nowiny, usiłując wyczytać z jego twarzy troski, które starałby się ukryć przed nią. Dziwiło ją, że nigdy nic podobnego nie dostrzegła. Sawinski zjawiał się zawsze pogodny, nieco ironicznie uśmiechnięty, a uśmiech ten ujawniał sporą dozę sceptycyzmu.

— Czyżby to była komedja? — myślała Sonia. — Czyżby ze względu na mój stan, chciał oszczędzić mi wszelkiej obawy i udaje spokój, którego czuć nie może?

Sawinski opowiadał wypadki z tygodnia. Zdawał się odnosić obojętnie do wszystkiego, co się działo. Czasem mawiał żonie:

— Moja droga, minął już dla mnie wiek, w którym się człowiek roznamiętnia. Jestem w dzisiejszej Rosji, jak ktoś zdrowy na umyśle w domu warjatów. Nie mogę brać moich współczesnych poważnie. To są chorzy. Jeżeli staną się niebezpieczni, opuszczę ich bez żalu. Zamieszkamy w Anglji lub gdzie zechcesz. Mam nieco funtów szterlingów. To doskonała waluta i podniesie się jeszcze. Borys już w pierwszej młodości odbędzie podróż po Europie, na jaką każdy Rosjanin jest skazany. A gdy przełom minie, wrócę do Rosji pracować, jeżeli wogóle będzie jeszcze jakaś Rosja i ja będę miał chęć pracować.

Sonia zauważyła, że tylko z synem rozmawiał trochę poważniej.

— Mój malcze — rzekł mu pewnego dnia — wchodzimy w bardzo zajmującą epokę. Nie wierz temu, co ci opowiadają ludzie, nie wierz, że chodzi o jakiś przelotny zamęt, i że odnajdziemy znów Rosję taką, jaką ja znałem. Nadchodzą nowe czasy. Od dołu idzie potężne parcie ku światłu. Ciemna dusza rosyjskiego ludu zaczyna się miotać bezwiednie. W społeczeństwie, które się przygotowywa, moje dziecko, będzie zawsze miejsce dla arystokracji. Ale to nie będzie arystokracja dawniejsza, która zatraciła świadomość swojej roli i swoich obowiązków. Nowa kierująca klasa powstanie przez talent i pracowitość. Posiądzie tysiąc razy potężniejszą władzę, niż ta zniedołężniała, która znika dzisiaj. Chodzi tylko o to, ile pieniędzy pozostanie ci po mnie, mój chłopcze. Może nie odziedziczysz nic zgoła. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Chodzi o to jedynie, kim będziesz, co będziesz umiał, jaką będzie twoja siła duchowa, w jaką cię zaopatrzę. Jeżeli będziesz miał jakąś wartość, zajmiesz w tem jutrzejszem społeczeństwie miejsce wyższe, niż ja we wczorajszem zajmowałem. Trzeba pracować, aby się stać człowiekiem, to grunt.

Malec słuchał z natężeniem, roznamiętniony. Oczy błyszczały mu z uszczęśliwienia, że ojciec przemawia do niego w taki sposób, jakby już był dorosłym. Szczycił się swoim ojcem i pragnął mu dorównać.

— W najgorszym razie — ciągnął dalej Sawinski — umieścimy cię w jakiejś szkole w Anglji na dwa lata.

Malec wtrącił rozczerwieniony:

— Ale ja nie chcę, żeby mnie bito — zawołał.

Jedyne pojęcie, jakie sobie wyrobił o szkole angielskiej, było, że tam w danym razie nauczyciel chłostał uczniów.

Sawinski zaśmiał się.

— Bardzo wielcy ludzie bywali chłostani — rzekł. — To nam się wydaje dziwnem, ale Anglicy, którzy mają wielkie zalety charakteru, twierdzą, że nie jest się mężczyzną, jeżeli nie umiało się w chłopięctwie znieść porządnej porcji rózg.

Dalszy ciąg nastąpi.